

WIEŚ TWORZĄCA

Nr 5(25)/2006/2007

ROK IV/V

Dodatek Literacki do „Powiatu Słupskiego”

boże narodzenie to najdoskonalszy prezent dla ludzi

Pomiędzy naszym „Betlejem”, „Nazaretem” a „Golgotą” zawiera się czas, przestrzeń i społeczność ludzka, w której nasze istnienie, świadomość, emocje – będą kreowały nasze życie i życie innych. Jakaś nieadekwatność człowieka ze światem, czyni nas także ofiarami swoich marzeń. Czy chcemy tego, czy nie – jesteśmy „Hiobami” i „lkarami” swojego czasu.



*Współczesny świat
dotyka kryzys wiary, także
moralności. Przejawia
się on zagubieniem celu
życia. Ludzie poddają
się obojętności duchowej,
lekceważeniu grzechu.*

Szatan nie leje potoków łez,
Ludzie się bez nich obyć nie mogą.
Szatan nieśpiesznie śmieje się z nich,
Że nie mogą pójść swoją drogą.

Świat jest nam znany w koniecznym sprzężeniu z nami samymi. Zakładamy też, że Byt jest otwarty ludzkiemu rozumieniu, a ta otwartość jest immanentną cechą. Człowiek jest „pasterzem” Bytu i jest tym Bytem, któremu w swym bycie chodzi o siebie. Żeby zrozumieć byt jako świat, trzeba zrozumieć go w całości, a więc także z jego nieuchronnym zakończeniem – ze śmiercią. Bycie „ku śmierci” należy do konstytucji ludzkiego istnienia. Jest to stwierdzenie empiryczne – które chociaż sprawdza się bezwyjątkowo – ale w którym nie ma konieczności. Podobnie jak egzystencja, śmierć jest każdorazowo moja.

Droga jest jedna – wskazówek wiele,
Błądzą, bo drzewa znikają.
Drzewo żywota rajem duszy mej,
Lecz dni już nie poczekają.

Cokolwiek istnieje, wprowadzone
zostaje w obręb ludzkich spraw poprzez
odniesienie do wartości, przyłożenie
miary wartości. Wartość jest miarą po-



rządku, miarą właściwą, stanowiącą ostateczną instancję sądu w świecie człowieka. Człowiek nie zna moralności obiektywnej. Związana jest ona z uznawanymi wartościami.

Moja otwartość na świat, negowanie zdobytych już stopni wiedzy, (także pokora, że mogę się mylić) – wyzwala potrzebę osiągnięcia nowej wartości, wykraczającej poza wartości mojego dotychczasowego życia. Nazwijmy to „wartością wzbogaconą”.

Człowiek posiadający umiejętność rozpoznawania Boga w drugim człowieku czyni nas lepszymi. Współczesny świat dotyka kryzys wiary, także moralności. Przejawia się on zagubieniem celu życia. Ludzie poddają się obojętności duchowej, lekceważeniu grzechu.

I cztery konie i dziesięć głów,
Nieważne to i bezrozumne.
Apokalipsa w lata rozwija się,
Odchodzi życie w swą trumnę.

Rodzina jest miniaturą społeczeństwa, będącego również w ścisłym sprzężeniu z tym społeczeństwem. Nasze wartości uniwersalne zainicjowane w procesie wychowania, pielęgnowane dalej w następnych pokoleniach, bezwarunkowo wpływają na obraz i tożsamość naszego społeczeństwa.

My, ludzie – majestatycznie i z szacunkiem równie godnym, zjednoczeni tradycją i wiarą – próbujemy świadomie i podświadomie naśladować nauki Chrystusa. Wiara jest afirmacją określonych zasad moralnych, jest koniecznością egzystencjalną. To tajemnica i propozycja życia. Według wiary chrześcijańskiej, Bóg – stając się człowiekiem – nobilitował jednostkę ludzką do godności równej sobie. Tak więc Boże Narodzenie to najdoskonalszy prezent dla nas ludzi. Syn Boży jest wzorem człowieczeństwa i wiary niezłomnej. „Miłość miłosierna” – to wolny i rozumny akt wyboru dobra drugiej osoby.

Ustyszeć, zrozumieć i pomóc, to

Henryka Juratowicz-Kurzydło, Słupsk

BOŻE NARODZENIE

*Jest taka smutku granica
Za którą radość się jasna zaczyna
I była taka czerń nocy
Co w jasny dzień się przemieniła
Jest wśród ludzi nadzieja
Nad która nic nie jest silniejsze
I taka Miłość...
Co przyszła z Nieba
W noc mroźną grudniową
A gwiazda jej drogę znaczyła
Wyciągnęła ta Miłość rączęta
Do ludzi samotnych, biednych
I choć stajenka licha, żłób twardy
Ona tę Ziemię błogosławiła*

największa prośba, i oczekiwanie naszych czasów.

I choć te księgi spali ogień,
Bo i tak też być może,
To kiedy przyjdzie kresów dni,
Broń swego Słowa – Panie Boże.

W labiryncie cichych rozmyślań i marzeń wierzymy, że narodziny Osoby INRI, rozumianej jako stanie się „jednym z nas” są naszą ostateczną i jedyną redutą nadziei w nieskończoność. W sensie metafizycznym stajemy się „progresją wznoszącą” – to jakby z wieczora... dniało.

Według mnie – tułającego się w myśleniu „nie od święta” – modlitwą jest życie człowieka. Moja gotowość do myślenia w poszukiwaniu prawdy pozwala mieć nadzieję, że świadomo-

me i celowe działanie na rzecz innych, którzy z powodów niepojętych potrzebują naszej pomocy, i wsparcia - też jest rodzajem modlitwy.

Na zakończenie dodam, że przytoczona w strofach wiersza „Apokalipsa” poetycka wrażliwość mieszkańca naszego Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie, pana Cezarego Wosinka, stanowi wyjątkowy prezent bożonarodzeniowy, który nie tylko oczekuje, ale i spełnia oczekiwania. W tym właśnie aspekcie wiary, z pełnym przekonaniem życzę Państwu - Szczęśliwego Nowego Roku 2007.

Klemens Rudowski
Dom Pomocy Społecznej w Lubuczewie

dłaczego płaczesz polsko?

„Bogowie i człowiek”, to tytuł wiersza Cypriana Kamila Norwida. Otwieram jego „Poezję” – tylko tyle w tytule, a wystarczy na kilka, na kilkanaście epok. Później może być wielka wojna, i spali to wszystko, co było. Nawet fortepian Fryderyka Chopina. Byłem na Nowym Świecie w Warszawie, przyglądałem się temu budynkowi. A Mistrz pisał, stał tam i widział, i pisał oczami, co stało się z fortepianem Fryderyka. Pewnie przyjaźnili się wzajemnie. Szkoda, że mnie przy tym nie było. Taka epoka dla artystów i twórców to wielkie poświęcenie. Ja zagmatwany w komunistycznej rasie, wciąż błędzę, szukam człowieka; tak trudno...



*Czy wiesz Mistrzu, że
Polska dalej nie ułożona
wryła się w skalną ziemię.
Słyszę uciekających
– nie przed policyjną
pałką czy lufami czotógów.
Dzisiaj inna to broń,
inna taktyka przeciwko
ludzkości. To nienawiść...*

Cyprianie pisz ponownie do Fryderyka, że: „A w tym, coś grał: taka była prostota (...) I była w tym Polska”... Ale tak dla przypomnienia, czy byłeś u „Pani Baranowej, która przyjmuje bardzo pięknie.” Mnie wtedy tam nie było, czy myślisz Mistrzu, że i mnie by ona przyjęła w swoim domu, w salonie ugościła winem? Ślady są wszędzie, widzimy je nawet po 150 latach. Przecież gdzieś dobrzy ludzie kierują się po śmierci, muszą się kierować w takie miejsca, gdzie wszystko jest dobre – nie tylko poezja, nie tylko muzyka, nie tylko skryta miłość do człowieka.

Piszesz: „Kiedy błądziłem w Piekło (...) – i szedłem dalej w powietrzu i porze, I świetle”... Jeśli nawet po drodze tak trudnej, by spamiętać to wszystko, bo pamięć też wysycha nawet, jeśli ją kilkakrotnie budzisz do własnych celów, to powiedz mi Mistrzu, ile tej Polski nosiłeś w sobie, czy cała była ona w Tobie? Piszesz: „Tam – milion rzes”... Wiem, że wiele razy płakałeś, po kryjomu są najpiękniejsze łzy, z woli, i ciała, i duszy. Wiem, płakałeś za Polskę, choć tak trudno wielu innym zachować się podobnie. Tak, wiem: „Wstaniez – i pójdziesz, kamienny z rozpacy, I nie zatrzymasz się”...

Czy myślisz, że Bogowie pomogli Ci przetrwać, dotrzeć do celu? Gdzie są Bogowie nie ma człowieka, bo: „Czułość bywa jak pełny wojen krzyk”. Tak, musiałeś bywać tam, a

niepokój o Polskę doskwierał Ci tą jałmużną w codziennych wymiarach, i na początku i na końcu, i prawie w każdym wierszu. Czytam te Twoje ślady Mistrzu i tak mało radosnych opisów, nawet i jasność nieba, i jasność w czasie poranku zgrzyta twardym słowem. Czyżbyś był wiecznym żołnierzem niespełnionym ku zwycięstwom? Twoje oczy to wicher namalowany na obrazach.

*„Jak niewiele jest ludzi i jak nie ma prawie
Pragnących się objawić!... (...)*

Ni współczesni, ni bliscy, ani sobie znani...”

Tylko pozory. Pozory są pajęczyną wplataną niewolnikom. Żyjemy stadami, choć w tej stadninie ludzkiej kołyszemy nienawiść niemowlęcym poruszeniem. Czy wiemy o tym, czy udajemy. Skąd się to bierze? Matka nam o tym nie mówiła. Ojciec



nam o tym nie mówił. Przechodziliśmy to całe stadium dojrzewania, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, z dekady na dekadę. Czy moglibyśmy zmieścić to nasze życie w jednym li tylko sezonie? Są owady żyjące tylko jeden sezon, choćby tak przyjazny do ludzi, motyl. Motyl, symbol piękna. Technika przyjscia na świat. Technika latania. Skrzydła większe i ważniejsze od całości. Kolory i wzory. Kto to czyni Mistrzu? Kto czyni to piękno bez ludzkich rąk przecie?

Ziemia ludzkich spraw z korzeni...

*Sznuruję ciekawość, schylam się do ziemi,
dotykam to ciepło życia, jest w nim zamęt...
Rozpamiętuję dziecinny hałas, podlotka zaloty,
ojciec w oknie liczył moje podwórkowe grzeszki.*

*Nie wiem czy wróciłem o czasie, zegar na piasku
skrzywił cień oddalającego słońca, było późno.
Matka przy kuchni smażyła placki, na patelni
olej się skarżył, a w głośniku sekretarz partii.*

*To zapożyczona epoka szara i śmieszna, lud
powstał z korzeni, z ogrodów ukrytych Szatana!
I tak pamiętam Cyprianie te moje zacne ciała,
to zalesie pagórków, krzaki i wojny na piasku.*

Pewnie Mistrzu byś mnie skrzyczał, gdybym Ci podzucił ten wiersz w tej chwili napisany. Za świeży, aby przenieść go do światła, niech w ciemności dojrzewa... Ale Ty, wojowniczy pasjans z kart układasz i piszesz: „Tak kły pszeniczne ruszają się z ziemi, Wyzieleniając, za grzmotem...”

Prostota z ułamkami. Czai się zawsze niepokój... Czy wiesz Mistrzu, że Polska dalej nie ułożona wryła się w skalną ziemię. Słyszę uciekających – nie przed policyjną patką czy lufami czołgów. Dzisiaj inna to broń, inna taktyka przeciwko ludzkości. To nienawiść. Nienawiść (w parlamencie) tomoce duchem zaszczości. Ludzie uciekają z własnej ojczyzny. Młodzież polska zostawia swój ślad jak najdalej od Polski. To nie Twoja emigracja, to nie moja emigracja, to jest dziwna „emigracja”, bo w pokoju... Przy Twojej emigracji był okupant, przy mojej emigracji był także okupant, a jaki okupant jest teraz obecny? A Ty już wtedy pisałeś o tym cholernym socjalizmie:

*„Ludzie, choć kształtem ras napiętnowani,
Z wykrzyknikiem różną mową wargi,
Głoszą: że oto źli i już i wybrani,
Ze już hosanna tylko, albo skargi!...”*

A skąd o tym wiedziałeś, człowiek przeszłość ma zawsze pozrywaną. Bo nie był w stanie zapamiętać... Pozrywane są nitki pamięci, gdzieś zaplamiony obraz w szczątkach lub we fragmentach. Ty miałeś swoją „przeszłość”, której ja nie umiem dotknąć, tym bardziej rozpoznać... Bo:

*„Nie Bóg stworzył przeszłość, i śmierć, i cierpienia.
Lecz ów, co prawa rwie;
Więc – nieznośnie mu dnie;
Więc, czując złe, chciał odepchnąć wspomnienia!”*

Od ciemności do ciemności, ta ciemność i dziś ma swoje miejsca. Ludzi łatwo odróżnić, ale łatwo też poróżnić. I wtedy taki klon myśli przydaje się: „Płomień w niebo rzucą, ofiarny...” Ale gdyby dostąpili skrawek tego nieba, nie myślisz Mistrzu, że by i to zepsuli, na poczet skrajnej zawiści. Denerwują mnie takie odpowiedzi, że człowiek grzeszyć musi. A dlaczego? Dlaczego nie wybiera „wysiłku” na rzecz umiłowania ziemi. Gdyby nie ta ziemia, gdzie by postawił swój dom? Gdzie by wiedział, iż ta ziemia, to jego ojczyzna?

W „Pielgrzymie” napisałeś:

„Przecież i ja – ziemi tyle mam,

*Ile jej stopa ma pokrywa,
Dopokąd idę!...”*

No właśnie, „człowiek”; który jest ważniejszy? Jeśli jest ten jeden gdzieś w czeluści ukryty słowami filozofów i technologów od religii, to jak nazwać tych, którzy przez całe nasze życie się przewijają we władzach. Byli potomni, i są nadal – bogami się zwać, lub każą się zwać. Ty Mistrzu masz swoją odpowiedź zupełnie powikłaną, bo co do kapłana – prędzej do apostoła, tak, niech każdy będzie takim apostołem swojego czasu. Ty ogłaszasz: - „Człowiek?... jest to kapłan bezwiedny i niedojrzały...”

Twoje „Dno jedynie – stale-ojczyste.” Dno moje upadłe, bom tej szczęśliwości nie zaskarbił sobie. Tak trudno odszukać siebie, choć w lustrze na co dzień przeglądany, nawet ukradkiem, nawet idąc patrzymy na swoje odbicie... Zapamiętujemy rysy jak urok zatok. Tak, rozumiem Twoje zakłęcie, bo szlachetność jest rzeczą trudną:

*„Ach!... czy nie ma już miejsca na świecie
Dla Niewinności?”*

Skazani jesteśmy na (niezwykłość w zwykłości), na balans p o m i ę d z y... Zostawiłeś ten szkielet tylko u niedobitków, bo tchórze mają swoje światy. Komu mam mówić o Tobie, kiedy piszesz potomnym i to zakłęcie:

*„A Ojczyzna – czy tylko
Jest tragedią-ojczyzny?”*

Nie kuś mnie bym odpowiedział. Zresztą nie jestem pewny, czy umiałbym odpowiedzieć. Jak piszesz: „Sieroctwo”, to w moim pojęciu jest ono zaprawdę długiemi wielopotomnym...

W ogrodach jest późno na zachwyty

*Tudzież moje istnienie, w kartach nic nie ma,
czarne kolory jak chmury przed burzą, zlewa się
ołowiana apokalipsa w literaturze i na obrazach.
Migotliwie rozpoczynam podróż, w poezji jest
taki pociąg bez maszynisty i konduktora, rozkwita
pamięć po odeszłych i odchodzących; wczoraj
pofrznął Marek Grechuta – śpiewnie do nieba.*

*Jesienne podróże są ciche, wkoło zasypiają tangary,
robi się ciasniej na przyczółku, ziewa puszysty
orszak ku sukcesom, polityka wdziera się nawet
do sypialni, posypana pudrem czas wstyd zakrywa,
a my tacy niedołęzni i z nadwagą, do snu wracamy.
Kolebka Twojej Polski była zupełnie inna, nie ma
dziś podobnego Norwida – są tylko pokraczne słowa.*

Mistrzu, to Twoja wina. Wplątałem się w gąszcz zawiłych roszczeń do wolności. Mezalians odkupienia jest iluzją, jest uwodzeniem o stan posiadania. Mieszkam w zaniedbanym domku rybackim – komunalnym, cuchnie wilgocią; grzybica robi swoje. Kto tu w ogóle coś robi? Za wolność muszę płacić! Nie ma, zlituj się, w ogóle nie wiem, kto się lituje.

A Ty mi tu śpiewasz:

*„Bo pieśń nim dojrzy, człowiek nieraz skona,
A niżli skona pieśń, naród pierw ustanie.”*

Postawie: Byłeś potrzebny Cyprianie Kamilu, wobec tamtego czasu i tego, w którym nie uczestniczysz. Komu dzisiaj dedykować te Twoje słowa, słowa odkupienia? Kto dzisiaj zagląda na te strony, gdzie wiersze pachną Tobą samotniku – wędrowcze - pustelniku? Wiersze to jak ten pociąg bez maszynisty i konduktora. Ale wiem, byłeś światu potrzebny! Byłeś Polsce potrzebny! Byłeś literaturze potrzebny! Wreszcie, byłeś mi potrzebny, żebym mógł Cię dotknąć, żebym mógł ujrzeć Twój ostatni ślad na ziemi... w wierszu.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

może otulę
jesień



antologia
poezji

Żyję z akcentami ciszy

„Żyję z akcentami ciszy” to tytuł rozdziału autora. Zaglądam i czytam zamieszczonych dziesięć wierszy Zygmunta Jana Prusińskiego, w antologii poezji pt. „Może otulę jesień”, wydaną przez Starostwo Powiatowe w Słupsku. Wstęp, wybór i opracowanie: Zbigniew Babiarz-Zych i Mirosław Kościeński; zdjęcia: Jan Maziejuk; projekt okładki,

skanowanie zdjęć, skład komputerowy i łamanie: Artur Wróblewski; druk: Drukarnia „Grawipol”. Wydanie I, nakład 400 egz.

I oto mamy następne wydanie, ważne w roku 2006. Takie przedsięwzięcie jest do pochwalenia. Widać, że w Starostwie Powiatowym pracują ludzie, dla których kultura, dla których literatura, dla których poezja jest też ważnym czynnikiem społecznym, regionalnym, i wreszcie pokazowym, że nie wszystko jest stracone, na tak zwanym (kapitalistycznym rynku)! A jednak można dokonać, zrealizować jak się chce. Brawo.

Przejdę od razu do omówienia. Autor wprowadza do zastanowienia: Nie wdawaj się w kruchą dyskusję - i to musi wystarczyć dla przechodnia, że pusta gadka nic nie daje. Prusiński dobrze zatoczył koło i długą przeszedł drogę, by nie wiedzieć o tym, że w kraju Słowian, nawet gadka tak naprawdę nie wychodzi... Poeta zaraz wyjaśnia. „Czy nie przeżywamy czegoś podobnego, idąc samotnie brzegami rzek, szukając odpowiedzi, tych rzeczy przegranych, tych niespełnionych z okresu dzieciństwa, z okresu młodości? Co dokonaliśmy w dorosłym życiu? Może wiele sukcesów osiągnęlibyśmy, gdyby nie ten (diabelny smok polityczny) w Polsce, który zniszczył nasze życie. Wystarczy dziś wyjść na ulicę i popatrzeć na twarze ludzi. Twarze zamknięte, opuszczone przez uśmiech i szczęście. A tych (w pierścieniu radości) jest tak mało.”

Poeta Prusiński w wierszu „Wysuszone obrazy miast” podpira się myślą Tomasza Jastruna: „Upadek sąsiedzkiej solidarności w miastach to wielka klęska naszej cywilizacji” – więc pisze, chyba pewny tego: „wykrusza się moja cywilizacja...” Ale i tak poeta chce rozmawiać ze światem zewnętrznym. O tym mówi wiersz „Chcę mówić do miasta”. Występuje tu cała panorama skupisk żywych instynktów – nawet „ogród z kamienia” może mieć piękno ukrytego serca. Poeta zauważa tylko upadki, jakby te losy przegranych są ważniejsze aniżeli wspomniany uśmiech i szczęście gdzieś ukryte... Dlaczego tak się dzieje? Czemu autor tych wierszy nie idzie tam, gdzie ta radość tańczy; przecież nie wszyscy muszą być takimi wyczuwalnymi odbiorcami. - Upij się poeto, upij się poeto i pisz nam tylko wesołe wiersze, jak zażądał od Prusińskiego sam redaktor tej antologii Zbigniew Babiarz-Zych. Podobno Prusiński odpowiedział, że nie interesuje go sztuczny walor pisania, pod publiczkę nie umie tym bardziej. Nie umie przebrać innej skóry jaką ma własną. Toż chce pisać tylko prawdę, a gdzie jest prawda? W ludziach przegranych. W ludziach ubogich. W ludziach chorych. W ludziach starych. – „Niech piekło brzmi swoją tonacją, swoim tonem, a ja będę tam

gdzie ludzie pragną czystości, choć są słabi”; tak mówi poeta z Pomorza.

Zygmunt Jan Prusiński to dobry obserwator, nie da się oszukać. Nie interesują go improwizacje i zastępcze zastony. Taki między innymi dowód jest w wierszu „Słupsk w kadrze pesymisty”. Miasto zaniedbane, przez okres PRL i przez okres III RP. Prusiński śmiało rzecze, że gdyby był gospodarzem do dzisiaj cywilizator z Niemiec, to te komunalne podwórka nie wstydzilyby się tych ubogich zaniedbań, nie mówiąc o budynkach. Co znaczy to cholerne wschodnie myślenie. Pieśniadze gdzieś upływały – to znamy – korupcja goni korupcję, a dziś chcemy gonić „króliczka”... przepraszam, świat zachodniego uporządkowania?!

Świetny jest wiersz „Nie jesteście winni wy, ale i tak jesteście straceni”, ze wstępem: Każde pokolenie musi oddać ofiarę, ofiarę czystą, nawet w pokoju. Nie zapomina poeta jednak tej dojrzałości przegranych w swojej poezji przekazać. Sam do nich się zalicza. Nie wstydzi się tego, bo i nie z własnej winy, a dlaczego; transformacja polska była, ale wyszła innym dobrze, choćby tym, którzy to całe zło budowali przez pół wieku. Uczciwy człowiek ku sukcesom od razu był ścięty z równowagi. Musiał być bardzo elastyczny żeby przetrwać. A jak przetrwać można było, kiedy dramat otwierał samoczynnie okna i drzwi, i od rana straszyl.

Oczywiście wiersz „Oda do bezrobotnego” pisze w pierwszej osobie, ale wierzę, że myślał także o innych. Element trwania jest w nim, w człowieku. Jednym wystarczy tylko widok drzew, bo dzięki nim, on, człowiek, istnieje. Poeta dobitnie dopisuje, żeby to drzewo było w pobliżu. Tak, bądź drzewo zawsze blisko. To niczym ofiarę z drzewa... Ale poeta widzi jeszcze w nim więcej od nas. My widzimy tylko drzewo, on swoiste tajemnicze głębokość życia. Przecież poeta dobitnie pisze w wierszu „Skądinąd bywam drapieżny”.

Wiersz „Cmentarze zapomnianych poetów”, to opis dwóch epok, którą poeta chwali, ale tę wcześniejszą, chodzi o XIX wiek. To był złoty wiek dla poetów. Mirosław Kościeński napisał krótko, ale dobitnie: „Osobnym przypadkiem, ewenementem jest poezja i publicystyka Zygmunta Jana Prusińskiego z Ustki. Jest bardzo płodny w swojej twórczości”. A wspomniany Zbigniew Babiarz-Zych napisał: „Zygmunt J. Prusiński jest jedynym obecnie, najbardziej pracowitym literatem na ziemi słupskiej”. Dla mnie, czytelnika, poezja się liczy. I tu mogłem podziwiać ten warsztat, tę indywidualną swoistą lirykę. Chciałoby się powiedzieć, że Prusiński wie co robić ze słowem. Można dodać, że słowa same do niego sfruwają jak pszczoły do ula. A to jest dużo, to jest doskonały sprawdzian kondycji autora w świecie poetyckim - niby tak subtelnym a jednak, gorzkim i szorstkim. Prusiński bez tej szorstkości i goryczy, chyba nie byłby poetą. Chyba nie.

Andrzej Pokropiński
„Puls Polonii”, Australia

Prusiński ma
słuch muzyka i
oko poety. Jest
spozstrzegawczy
na sprawy
społeczne, i
to go wynosi
na piedestał
obroncy prawdy,
obroncy prawa,
obroncy odwagi.
Ta cecha
jest rzadka u
poetów dzisiaj.

Jutro zapuka rzeczywistość

Mam przed sobą Antologię Poezji pt. „Wiersze jak chabry w pszenicznym łanie”, Słupsk 2005. Występuje w niej z utworami czterdziestu autorów. Publikacja wydana staraniem Starostwa Powiatowego w Słupsku.

Jako recenzent, wybrałem z szacownego grona znanego mi osobiście autora: Zygmunta Jana Prusińskiego z Ustki. Po- wiem tak, od razu wiedzieć się powinno, że nudzić poeta nie będzie, że zaskoczy tematycznie od strony bogatej ilustracji w wierszach, wręcz opowiada, wciąż opowiada, i to jak. To jest poezja przyklejona do człowieka, jego zwykły dzień nie różni się od symbolu kamienia, a zatem trud przeżycia, gdzie ofiarą staje się uczciwy człowiek. Bo kłamstwo według Prusińskiego: ma sztandary, a dialektyka pożądana. Społeczeństwo uśpione i prowadzone (w kameralnej okupacji) przez kolorowe partie. Poeta Prusiński zauważa, że termin „demokracja” jest pierwszą literą „A” z elementarza. Są demokratyczne partie lewicowe i są demokratyczne partie prawicowe, a człowiek - ludzie - społeczeństwo - naród, są mozaiką w ich ustach. Nawet nie muszą pocić się decydenci, szepczą starym zwyczajem, to niczym schemat obyczajowy. Prusiński umie to wyczuć, ma słuch muzyka i oko poety. Jest spostrzegawczy na sprawy społeczne, i to go wynosi na piedestał obrońcy prawdy, obrońcy prawa, obrońcy odwagi. Ta cecha jest rzadka u poetów dzisiaj. Wolą pisać bezpieczne tematy, nikogo nie dotykać a nawet i nie obrażać. A on wciąż świdruje problem Polski w ciele narodu. Uważa go za tchórzliwy emblemat dzisiejszego czasu niszczenia cech tradycyjnych w słowiańskim świetle i dźwięku. To Zachód powinien uczyć się konserwatyizmu trwałych uczuć, nic z liberalizmu, bo akurat dla Prusińskiego

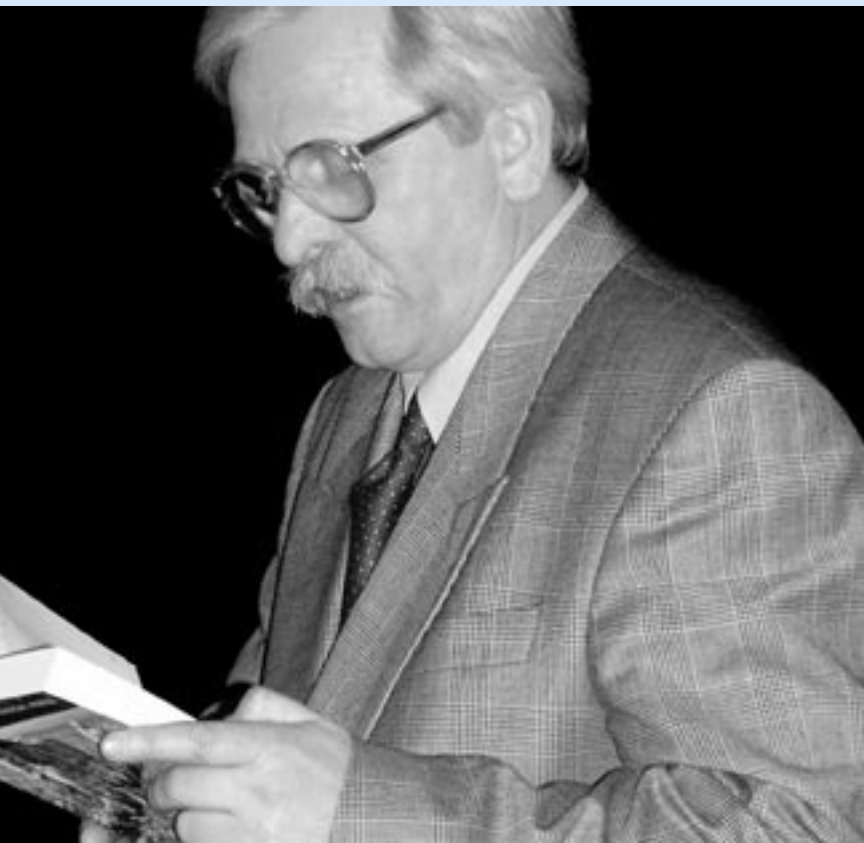
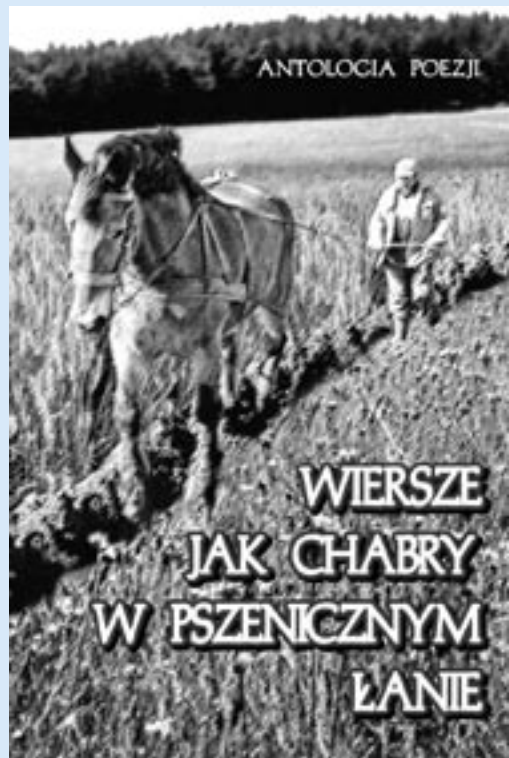
całkowity „liberalizm”, to tkanka tchórzostwa, która doprowadza do bałaganu i niszczenia, zniewolenia piękna w ludziach - którego coraz mniej wykwiła z korzeni narodowych. O tym pisze w książce współredaktor Mirosław Kościński, znany poeta na Pomorzu i w kraju, laureat „Czerwonej Róży” w Gdańsku. Cytuję fragment: „Bo przecież słowo kultura to tylko prozaiczne uprawianie roli. Po łacinie. I tutaj dotykamy tak zwanej brudnej rzeczywistości. I pisze o tym Zygmunt Jan Prusiński. Po powrocie z 13-letniej tułaczki poza Ojczyznę. Kiedy wrócił z Austrii zaczął pisać o wartościach.

Tych największych. Czyli ukochanej Ojczyźnie, Polsce. I kiedy ogłosił słynny wiersz o Saddamie Husainie wszyscy odsądza- li go od czci i wiary. A po niecałych dwóch latach pobytu naszych wojsk w Iraku okazuje się, że miał wiele racji. I za to trzeba cenić Prusińskiego”.

Zgadzam się, to poeta męskiego typu. Dla niego nie ma żadnych parawanów, nie owija bawetek o zapachu sztucznych perfum. Twarz jest twarzą, słowo jest słowem i zawsze w nim będzie najcenniejsze; to tarcza z mieczem Anioła. Nie ma on litości dla słabego narodu i tępi taki naród, bo dla niego liczy się tożsamość. Ojczyzna bez tego elementu jest skun- dlonym tworem. A obrażajcie się, obrażajcie - poeta Prusiński ma rację.

Przy luźnej rozmowie z autorem, wyznał on, że: Perio- dyki literackie i dzienna prasa, dla mnie, (w wolnej Polsce) coraz bardziej zacieśnia się. Cenzura jest aktywniejsza aniżeli to było w komunistycznej PRL - Czy to absurd i paranoja? - pyta Prusiński. - I mnie to dziwi, jeżeli walczyliśmy o wolność słowa. Bo poezja bez wolności słowa jest niczym innym, i n w a l i d k ą. Zygmunt Jan Prusiński nie zapomina o tragicznych postaciach wielkich obywateli świata w XX wieku. O swoim przyjacielu Zbigniewie Herbercie napisał wiersz: „Sadzawka i skrzydło bociana”. „Zastosowa- nie cienia przed kałużą” to motto autora do wiersza „Nowy pomnik w Słupsku”. Ten wiersz poświęca ks. Jerzemu Popiełuszce. Krzyk poety jest ironią. Nie ma innego wyjścia, jeśli sam stoi na przedpolu walki. To jest przykre, jeśli wierszem walczy - a chciałby... mieczem! Tak, to się czuje, jak ciężko żyć w Polsce takim osobowościom. Prusiński nie znosi masek i przebierańców, gardzi judaszami i błaznami. Zresztą ma w propozycji tomik wierszy do wydania pt. „Bła- zny i judasze”, jak wiele innych tytułów już przygo- towanych do druku. Jedynie brakuje mu odważnych sponsorów. Bo w swoim arsenale ma odważne i mocne wiersze.

Andrzej Pokropiński
„Puls Polonii”, Australia



wiersz rodzi się z trudów i cierpienia

Nam, Polakom od zawsze przypisywano romantyzm wyróżniający nas spośród innych narodów. Może to sprawia nasza niezwykle bogata, dramatyczna historia, a także nadzwyczaj bogaty język - jego wieloznaczności i wrażliwość, co wybitnie sprzyja twórcom poezji.

Według wrocławskiego krytyka literackiego Karola Maliszewskiego, w naszym kraju pisze wiersze około dwóch milionów ludzi. Tenże K. Maliszewski uważa, że spośród tego ogromu wierszy, rozpowszechnianych w przeróżny sposób, a możliwości w dzisiejszej dobie jest wiele: prasa, internet, klu-

by poetyckie, setki konkursów, samych tomików 800 rocznie - tylko około dziesięć procent można uznać za poprawne, a z tego może jeden procent, to utwory literacko wartościowe.

W obliczu powszechnego niemal pędu do pisania te dane nie dziwią. Może tworzenie wierszy wielu osobom pomaga przetrwać w tym niepewnym tyglu wydarzeń, albo przynajmniej przynosi ulgę w dzisiejszych, jakże niełatwych czasach. Nic dziwnego, że pod względem ilości pisanych wierszy jesteśmy wyjątkowi na skalę europejską. Ale, wiadomo, poezja nie kwitnie tam, gdzie ludzie syci i zadowoleni z życia. Ona rodzi się z trudów i cierpienia. Tworzy ją wrażliwość ludzi, niezależnie kim oni są.

Uczciwa

Trzeba było pokochać biedę

- nie było innego wyjścia

a podobno to rzecz niemożliwa

Pokochałam swoją biedę z wzajemnością

ale to miłość - uczciwa

przynajmniej przynosi ulgę w dzisiejszych, jakże niełatwych czasach. Nic dziwnego, że pod względem ilości pisanych wierszy jesteśmy wyjątkowi na skalę europejską. Ale, wiadomo, poezja nie kwitnie tam, gdzie ludzie syci i zadowoleni z życia. Ona rodzi się z trudów i cierpienia. Tworzy ją wrażliwość ludzi, niezależnie kim oni są.

Irena Peszkin, Koszalin



Ktoś słusznie powiedział i prawie chórem powtarzane jest stwierdzenie, że Polska jest krajem poetów. I nie powinno to nikogo dziwić.

poetka z człuch

Ta niesamowita, bo kochająca bardzo słupeńską wieś i prostych wiejskich ludzi poetka urodziła się w Chałupach (dzisiaj wieś ta nazywa się Smołdziński Las), niedaleko wsi Człuchy. Prawie całe życie spędziła na wsi i to w swoich ukochanych Człuchach, gdzie wspólnie z mężem prowadziła spore gospodarstwo rolne. Poznała w nim dobre smak wiejskiego życia, ale też mogła przeżywać chwile niezwykle. Już z rodzinnego domu - jak często sama podkreśla - wyniosła pracowitość i poszanowanie dla ludzkiej godności. Ale od najmłodszych lat była też wrażliwa na przyrodę i ludzką krzywdę. Bardzo przeżyła przedwczesną śmierć męża, która w znaczny sposób zaważyła później na jej dalszym losie. Po jego śmierci zaczęła jakby bardziej przyglądać się ludziom i swemu życiu. Otoczona zewsząd pięknym krajobrazem zaczęła też pisać

wiersze, w których do dziś „stara się oddać pokłon Naturze, jednocześnie dostrzegając w niej człowieka”. Oczywiście, człowiek mieszkającego na wsi, styranego pracą, przeżywającego jakieś dramaty. I właśnie te wiersze znajdujemy w jej pierwszym tomiku pt. „Księżyc kładzie garść światła”.

„Twórczość Jurałowicz, szczególnie jej wiersze o zabarwieniu erotycznym, w których porównania i metafory przesycone są elementami

zaczerniętymi z pomorskiej przyrody możemy w wielu przypadkach porównać z poezją francuską lat 30-tych ubiegłego wieku - napisał we wstępie tomiku słupeński poeta Mirosław Kościński, znający poetkę na co dzień z jej aktywnego udzielania się w działającej przy starostwie grupie „Wtorkowe Spotkania Literackie”, obserwujący jej twórczy rozwój. - W jej tekstach „kwitną róże z kamieni” (Ziemia), „Księżyc kładzie garść światła na spracowane dłonie” (Letni wieczór). (...) Jednak najbardziej poruszające czy wręcz wstrząsające w tomiku są teksty o tragedii byłych pracowników Państwowych Gospodarstw Rolnych, zniszczonego, rozkradzionego czy sprzedanego za bezcen sprzętu i ziemi, a raczej ugorów,

Henryka Jurałowicz z Człuch ma swój pierwszy tomik poetycki. Ukazał się pod tytułem „Księżyc kładzie garść światła”, a wydało go jej Starostwo Powiatowe w Słupsku.



jakie dzisiaj straszą w byłym województwie słupeńskim”.

H. Jurałowicz jest poetką miękkiego i wrażliwego serca, ale potrafiąca też pokazać swój waleczny pazur, tam gdzie jest on niezbędny. I tak właśnie dzieje się we wspomnianych już wierszach opisujących obecną dramatyczną popegeerowską rzeczywistość, z którą poetka w żaden sposób nie może się pogodzić. Opisuje i stara się walczyć z tym, wobec czego inni są zupełnie bezradni. Do czego się już przyzwyczaili, z czym jest im już nawet dobrze. Choć ukończyła tylko zawodową szkołę rolniczą pisanie wierszy nie sprawia jej większego problemu, stało się jej prawdziwą pasją. Pisze też felietony, opowiadania, opisuje wiejskie tradycje i zwyczaje, które drukuje w miesięczniku „Powiat Słupeński” i „Wsi Tworzącej”. Jest też prawdziwą miłośniczką folkloru, posiada zamifowanie do wszelkiego rękodzieła. Od ponad dwudziestu lat zajmuje się haftem ludowym i śpiewa w zespołach folklorystycznych.



Henryka Jurałowicz

KSIĘŻYC
KLADZIE
GARŚĆ
ŚWIATŁA

Kilka z jej haftów zostało zamieszczonych w tomiku, bo doskonale pasują do nastroju zamieszczonych w nim wierszy, przy okazji dokumentują też i ten rodzaj twórczości autorki wierszy.

Książka została zaprezentowana już na listopadowym zebraniu uczestnikom „Wtorkowych Spotkań Literackich” i była ciepło przyjęta przez bractwo literackie. Teraz, razem z autorką,

pojedzie na spotkanie z młodzieżą i mieszkańcami gminy do Smołdzina, to tamtejszej szkoły. Ze Smołdzina już przecież tylko kilka kilometrów do jej rodzinnych Człuch... W tym miejscu należy dodać, że tomik ukazał się dzięki przychylności władz gminy Smołdzino, która dołożyła się do jego wydania. Został wydrukowany w nakładzie 350 egzemplarzy.

Z. Babiarz-Zych, Słupsk



*Poezja była, ona tylko
cierpliwie czekała
na mnie. Bo ja ją
widziałam w błękitach
nieba, w zieleni łąk i
liści, w złocie kwiatów,
w szumie wody w
Łupawie, którą ręcznie
czerpałam, żeby ugasić
pragnienie. Wtedy
nie byłam jeszcze
gotowa dla niej, całe to
piękno przyrody miało
ukazać się w strofach
wiele lat później...*

na wszystko przychodzi czas

Mamo, czy ty kiedyś wyobrażałaś sobie, że będziesz czytała publicznie swoje wiersze? – Takie pytanie zadał mi syn Paweł, gdy opowiadałam mu swoje przeżycia na ostatnim występie, jakim był wieczór literacki, na który byłam zaproszona do prezentacji swoich utworów. Tak, było to moim marzeniem, ale nie wszystkie marzenia się realizują. To się spełniło. Wszystko musi mieć jednak swoje miejsce i na wszystko musi przyjść czas.

...Musimy dzisiaj coś postanowić z tą dynią posadzoną na pół hektarze pola. Co tu robić, zaczyna się wyścig z pogodą i czasem. Idziemy z mężem w pole, uzbrojeni w motyczki. Pole długie, ciągnie się ponad pięćset metrów. Rzędy dyni jeszcze widoczne wśród chwastu, a więc do roboty. Mozolnie krok po kroku zagłębiamy się w uprawę. Bolać plecy, mdleją ręce. Klękamy, odrzucamy graczki i ręcznie wrywamy zielsko. Jak pielgrzymi na kolanach przemierzamy nasze pole. Obliczamy, że za pięć dni powinniśmy się z tym uporać, aby tylko więcej nie padało. Pięknie odcinają się rzędy już wypielone, krzaczki dyni już zaczynają się „rozkładać”, gdzieś już złocą się kielichy rozkwitniętych kwiatów.

Najtrudniejsza jest końcówka pola, jest tu najlepsza ziemia i tych kilka ciepłych i wilgotnych dni zrobiło swoje, chwast wyrósł już prawie po pas, ale nie ustępuje. Teraz już od trzech dni sama z nim walczę, bo mąż zajął się innymi obowiązkami w gospodarstwie. Jestem niemiłosiernie zmęczona, całe dnie w polu z małymi przerwami na ugotowanie rodzinie obiadu i obrządek przy bydle. Ręce są całe zielone od chwastu, całe ciało w bąblach, swędzi po ukąszeniu owadów. Ale skończyłam, uratowałam cenną paszę dla krów...

I gdzie wtedy szukać było poezji, na tym polu? Ale poezja była, ona tylko cierpliwie czekała na mnie. Bo ja ją widziałam w błękitach nieba, w zieleni łąk i liści, w złocie kwiatów, w szumie wody w Łupawie, którą ręcznie czerpałam, żeby ugasić pragnienie. Wtedy nie byłam jeszcze gotowa dla niej,

całe to piękno przyrody miało ukazać się w strofach wiele lat później...

I oto nadszedł dzień, wprowadzie szary, jesienny, bo przecież listopad, ale dla mnie jasny, jakby to wciąż jeszcze był letni. Stoję w sali starostwa przed całą bracią literacką naszych „Wtorkowych Spotkań”, w ręce trzymam swój pierwszy tomik poezji, pięknie wydany. Delikatność okładki, jakże inna niż kolące kiedyś chwasty. Wzruszenie ściska żołądek i gardło. Nie wiem, jak nazwać, do czego porównać takie uczucie, przeżywam po raz pierwszy. Można chyba porównać je do chwili, kiedy pierwszy raz wzięłam w ręce swoje dziecko... Patrę z niedowierzaniem na stos książek i na każdej widzę swoje imię i nazwisko. Składam autografy... Wszyscy z naszej grupy proszą mnie o tomik, gratulują, całują. Zaraz oddają ten z zauważonym najmniejszym defektem, chcą mieć dobry! Czytam kilka swoich wierszy, nie wybieram ich specjalnie i... wszystkie się podobają. Składają się w całość i oddają to, co jest w mojej poezji ważne – człowiek, przyroda, mój rodzinny dom.

Pragnę złożyć gorące podziękowanie wszystkim, którzy pomogli mi wydać ten mój pierwszy tomik wierszy. Z całego serca dziękuję Starostwu Powiatowemu w Słupsku i Urzędowi Gminy w Smołdzinie - za pomoc finansową. Mirkowi Kościńskiemu - za korektę tekstów, za piękną recenzję. Panu Zbyszowskiemu Babiarzowi za cały nadzór nad wydaniem. Panu Arturowi Wróblewskiemu - za piękny projekt okładki. Jankowi Maziejukowi - za zdjęcia moich haftów, które też znalazły się w tej książce. Dziękuję wszystkim moim przyjaciołom, którzy zachęcili mnie, żeby wydać tę książkę, bo prawdę mówiąc sama nie miałabym odwagi. A dziś, muszę przyznać, nie jestem już taka skromna, marzy mi się następna książka. Wiem jedno na pewno, będę wierna poezji, bo to jest moja siła i piękno.

**Henryka Jurałowicz – Kurzydło
Słupsk**

wiersze najnowsze

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

Tryptyk Wigilijny

W MROCZNI SŁÓW JEST GNIĄZDO BOGA

Ile razy pomyślę o Bogu, to nigdy
nie o tym nowonarodzonym.
Są wierne przymierza starych przyjaciół;
kto może się przyznać że w takim gronie
bywa nie tylko od okazji?
Moja Wigilia jest uroczysta wierszem -
częstuję (mój otwarty świat)
miodem i śliwkami,
plackiem nadziewanym grzybami,
sałatką ze specjalnych roślin.
Jest kolęda z nowymi słowami,
po swojemu spisuję dzieje
w moim miasteczku nad samym morzem.
Ustka podkrada się bliżej okna,
taka ciekawa jest wydarzeń
w moim samotnym domu
z obcasami do tańca - gdzie nikt nie tańczy.

GWIZD LOKOMOTYWY I TWÓJ BLUES

Spópielate symptomy marazmu
spijają pacierze zadyszanego człowieka
w świetle ojczyźnianych wrót domu.
Daleki emigrant nie wraca do Polski -
zabrakło mu na samolot trochę dolarów.
Zostaje w dużym mieście z kwiatem pamięci,
o ojcu i matce przy świątecznym stole.
Taki scenariusz przenosi przez Atlantyk,
że teraz ciężej mu na Boże Narodzenie.
Pamiętajcie jeszcze niezłęczeni,
każdy ma swój dzwonek odejścia.
To taki blues spod nuty gitary -
nawet gwizd lokomotywy znajomy
nie sprzyja tym obrazom
nafaszerowanym,
sztucznym gwiazdkom na śniegu...

ŚWIERKOWY ZAKRĘT CZASU

Sianko i mały Jezus
w glinianej stajence nie rozumie
że królem biednych jest.
Zwierzęta same z ciekawości zaglądają,
co z niego wyrośnie -
tylko plotki czas przekazuje
a wyrocznia na harmonijce ustnej gra.
Wiatr uniżony klaszcze dolnymi partiami;
jest cicho i szlachetnie -
a gwiazda północna rozkłada skrzydła

do dalekiej podróży.
Za czym okrąży kule ziemską,
Chrystus wyrośnie na młodzieńca.
Już wówczas będzie nawoływał
o prawo dla słabych ludzi.

Lubię świerkowe szlaki -
może ten zapach jodłowy
zostawia mi z serca sam... Bóg?

Emila Zimnicka, Izbica

OJCZYŻNA

Znajdziesz mnie
W szeleście suchych liści
Brzozy
Kroplach jesiennego deszczu
Migotaniu płomyka świec
W gałązkach nadjeziomej
Łoży
W skrawku błękitu
Bo jestem Twoją matką
Ojcem i życia przestrzeń
Jestem tworem Bożej
Wyobraźni
Ojczyzną, żywicielką Twoją
Najdroższą ziemią

WSPOMNIENIE

Złocistą poezję opadających
Liści
Przecięta smuga ciemności
Smutek osiadł na twarzach
Bliskich
Złączonych węzłem
Miłości
Ktoś drogi przekroczył
Rzekę... przechodząc
Na brzeg wieczności
Odszedł w niezłane nieodgadnione
Popłynął za nim łzy żalu
Szept modlitw
Zostanie pustka
I cienie w ciemności
Budząc pamięć i wspomnienia
Aż do spotkania
Za cienistą brzozą
W alejach wieczności

Katarzyna Skwiercz, Budowo

WIERSZ TRAGICZNY

Samotność
rozpacz

lęk
zwątpienie
Beznadziejne złudzenia
Łzy
gorzkie jak piołun
słone jak Morze Martwe

Czuję się
jak śnięta ryba
wyrzucona na brzeg
pozbawiona powietrza
której nikt nie zauważył

Czuję się jak drzewo
z którego opadł
ostatni liść
nadziei

Czuję się pusta
Obdarta ze złudzeń...

To jest wiersz tragiczny

Teresa Nowak, Łupawa

Grzegorz Chwieduk, Kępice

PŁYNIEMY JUŻ NA GWIEZDNEJ FALI

wsypuje się w nas noc
zmieszana z ciszą

noc wymarzona
noc blisko siebie

kaskada gwiazd ustata niebo
księżyc łni kusząc nadzieją

kąpiemy się w szczęściu
jak w szampanie
sycimy się tą chwilą
odkrywając magię ciała

oczy błyszczą szaleństwem
usta piją usta

szepczesz i szeleścisz we mnie

ubrana w zwiewne pocałunki
dotykem piór łabędzich
oplatasz moją duszę

przy Tobie
prawdziwy się rodzę

ŻYCZENIE OSTATNIE

A kiedy już ostatni most
Zostawię gdzieś za sobą,
Przyjaciół już nie będzie,
Znajomi się rozproszą,
A obcy dalej będą szli.

Otworzę swe ostatnie wrota
I środkiem drogi będę szła
Z wysoko podniesionym czołem
Wprost w blask
I tylko, panie, oszczędź mi
Cierpienia bólu
I bliskich też.
A tam spokojny kącik daj
I czas
Bym przejrzyć mogła dzień po dniu
Wędrówki ziemskiej ślad.

Jadwiga Michalak, Naćmierz

ENIGMA MOJEGO ŻYCIA

Enigma mojego życia jest prosta.
Zawsze należy iść drogą prawdy,
wytrwale dążyć do celu,
nie zważać na przeszkody.

To niby takie proste, a jednak
można się w życiu pogubić
kiedy za bardzo wierzy się słowom,
a są tacy, co chcą oszukać.

Należy kochać rodzinę,
być z nią na dobre i na złe
wierzyć, że wszystko się uda,
zostawić ślad na tej ziemi,
ślad swego istnienia.

Irena Peszkin, Koszalin

CISZA

Tej bezsennej nocy
jakiś dziwny księżyc jakby zawstydzony
przymglony muslinowym
obłokiem

a wczoraj
do okienka zaglądał
taki jasny i wyniosły

czego tu wypatrywał?

na moim poddaszu
tylko cisza
samotności

WYSTARCZY SIĘ ZATRZYMAĆ

Wędruje po świecie miłość
wielka i nie pojęta

O skały rani skrzydła
w poszukiwaniu serca
które by dla niej biło

Spiesz się gdzieś mały człowiek
w poszukiwaniu szczęścia

Z własnym cieniem się ściga

a może szczęście tuż obok
- wystarczy się zatrzymać

Krystyna Pilecka, Koszalin

O BOŻYM NARODZENIU

W Betlejem nie było śniegu
Ani choinek oszronionych
Może pachniało tylko sianko
I była gwiazda
Która świeciła Nowonarodzonemu...

A ja tak pragnę
z pasterzami
do stajenki i aniołów
Potem zaprosić wszystkich
z pierwszą gwiazdą
do polskich wigilijnych stołów

Pierogów Oni też nie znali
ani wspaniałych klusek z makiem...
Niech poznają smaki naszych potraw
Wśród życzeń dzieląc się opłatkiem

Razem zaśpiewamy kolędę
że na sianie Bóg się rodzi
że talerz czeka dla głodnego
który bezdomny nocą chodzi

I poprosimy potem cicho
by razem z betlejemską gwiazdą
dla wszystkich ludzi dobrej woli
rozblęta wielka „boża jasność”
By zaświeciła – zajaśniała
nieczułe serca nam rozgrzała

Edyta Wysocka, Miastko

POD TWOJĄ OBRONĘ

UCIEKAM SIĘ...

Trzymam w ręku wyrok
mammografii wystanej w kolejce
Lęk
Krótkie powietrze
Myśli rozwietrzane
i oczy moich dziewczynek
Matko

Już nie proszę o cud uzdrowienia
tylko węz w dłonie ich wilgotne rączki
i jak ongiś Jezusowe
z Betlejem do Egiptu poprowadź

PROŚBAMI RACZ NIE GARDZIĆ W POTRZEBACH...

Ugotowałam zupę na kościach po złoty dziesięć
W oknie gołąb - listonosz prosi o okruchy
- bezrobotny jak ja
Strach o następny dzień
Na palcu obrączka wolna od przysięgi
Urwana kobiecość tępa i brzydka
Już nie przyjaźnię się z lustrem
i nie proszę o codzienny kawałek nieba
tylko o chleb dla ciała Matko
Lecz tak jak ciało

tak i moja dusza kotłuje się sieroco
Byłam u lekarza
to tylko depresja
i kiedy proszki zaczną działać
będę spać po różowych
po niebieskich żyć
a nawet śmiać się będę

OD WSZELAKICH ZŁYCH PRZYGÓD RACZ WYBAWIAĆ...

Kupiłam test
To już trzy miesiące
Śni mi się dotyk małej rączki dziecka
Odrzucam wzruszenie jak trujące ziele
Usta zaciskam na czarno - biało
Jestem kobietą przy nadziei - bez nadziei

...To bolało Matko
Mój brzuch jest znowu pusty
Pod skórą kolce pamięci
Ranią



Matko
 Chcę znieruchomieć jak źdźbło trawy
 na suchej ziemi Eliasza
 Bo gdy nie jest się matką
 nic nie ma sensu

OREDOWNICZKO

POŚREDNICZKO POCIESZYCIELKO...

Jestem brudna
 Przez moje ciało płyną grzechy
 Jestem skrojona mężczyznom
 i jak Maria z Magdali
 podaję się im przez siedem złych duchów
 Dawno zamknęłam życiorys z
 czerwonej sukni
 Sączę życie ze szkietka
 i nie pamiętam kiedy przestałam płakać
 ale kobietą jestem jak Ty Matko
 Magdaleną którą nie pogardziłaś
 i Syn Twój nie pogardził
 i grzechy odpuścił przez Ojca swego
 I szła ona drogą do Galilei za Jezusem
 postępując Mu
 Matko
 Nie chcę już mylić drogi
 Nie chcę błądzić

Z SYNEM SWOIM

POJEDNAJ..

Czy jeszcze pora uklęknąć
 teraz
 gdy
 we

mnie tylko to
 co nie trwa
 co jest a nie wrasta
 co drwi a nie napomina
 Teraz
 gdy wiatr mi w oczy a nie we włosy
 gdy z kamienia mi a nie z rogu obfitości
 Teraz
 gdy niebu okna wybijam
 a w sedno nie trafiam

Czy jeszcze pora uklęknąć...

Edyta Mielewczyk-Wilga, Główny

ŚLADY

Owoc smakuje słowem
 Niedojrzały trzeba
 ogrzać
 Dojrzały – pieścić...
 Nieodczuwalna chwila
 rozkoszy!
 Płynący sok
 pachnie słowem
 Na końcu ułożę
 płatki róż
 I będziesz otuloną
 primadonną
 I oddam ci skarby
 nietykalnych...

A słowo ciałem
 się stało!

By zwrócić
 początek
 Duch mój
 nawiedzi
 twój

oddech
 Pęknie serce
 znów otulę twe
 włosy
 By kochać cię mową
 na nowo!

Lechosław Cierniak, Słupsk

BYŁ PEJZAŻ

Był
 Lisice roznosiły śpiew wiatru
 jak heroldowie edykt
 strumień podążał do celu
 nigdy fałszując rytmu
 a jaskółczy lot
 zwiastował deszczową kantatę
 Ale przyszedł człowiek
 i wszystko w pień
 Dawne korony u moich stóp
 i już na stosie
 majestat brzóz oskalpowany z siwizny
 Nieludzkie piły
 szczerzą zęby do zmęczonych siekier
 a po drugiej stronie
 bujność traw ukamieniowano kosiarką
 Jakąś asygnatą kwitując odbiór

Joanna Jank, Dębica Kaszubska

Wiele dni minęło
 Szczyt ten – zerka tu poniżej
 Jak gonimy echo naszych śmiechów
 Rzygacz z wesołości pienie się zaczyna
 A pilaster sąsiadowi za okna szepcze
 Że na dole dwóm kolumnom
 Znowu gdańskie tango wyszło

Wiele dni minęło
 A ekshibicjonista – Neptun

nadal nie pojmuje
Po co mi ta chusta
Czas do wiatru już przywyknąć!
I unet Ty pociągasz me chuściane frędzle
Wolność włosom mym nadajesz
Te frywolnie wiatr do ust przytula
Abyś, palcem sunąc, je pozbierał
Znowu kuszę
Znowu broisz
Znowu się uśmiechasz

Tyle dni minęło
To tu pozostało

Eugenia Ananiewicz, Słupsk

ZABIĆ TĘ MIŁOŚĆ

Jeszcze kocham
chciałabym uśmiechać się do księżycyca
do gwiazd roziskrzonych na niebie
spokojnie sączyć błękit oczu
tych moich jedynych.

Ty toksyczną wyobraźnią
zabijasz tę miłość
wciążasz mnie w dolinę
ciemności.

Jakieś głosy z niezmiernie wysokości
przeciągłe i żalosne
przebijają tę ciemność
przeszłość umiera
w każdej chwili
nijak z nią żyć
karmię się jeszcze
złudzeniami.

Do stracenia mam
tylko dobre imię
więc żyję
mam jeszcze po co żyć.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

HENIA JURAŁOWICZ WYDAŁA KSIĄŻKĘ

Zobaczcie ile w niej życia, kilkanaście stron
zmieściła w swoich wierszach.

Słońce nie zdążyło zaświecić,
a ona już z książką wbiegła przez próg domu,
a ile radości gwałtem niczym wiatr
pośliznęła się szum o podłogę.

Czy wy wiecie, czy wy wiecie,
tam na górze rozprawiają o kwiatach
i o owocach w ogrodzie Henryki –
biegną, biegną ubrane w barwy jej liryki.

A jej ojciec zasadził gruszę: ojca nie ma
grusza się za to śmieje do poetki.

Jeśli chcecie przeżyć to na żywo,
jedźcie tam gdzie leżą Człuchy

owinięte zielenią, z zagładającym
pióropuszem zaśpiewanych ptaków.

Bo naprawdę, bo naprawdę tam
pod oknami domu
„księżyc kładzie garść światła” –
i to trzeba zobaczyć!

CZAS ZAMKNIĘTY, RODZI SIĘ NOWY CZAS

Pobiegłem do sklepiku, zajrzałem na ladę,
cholera, gazety zaczęły się ze mnie śmiać...
Dlaczego ze mnie, kiedy tak poważnie
podchodzę do zagarnięcia prawdy z nich.
Ubrany byłem w czerwoną marynarkę,
spodnie też czerwone i koszula czerwona,
tylko pantofle czarne i myśli we mnie czarne,
że nadchodzi kres słońca, za to zimny wiatr
dmucha mi po starej rynnie, a z niej upust
dźwięku, niewyraźny, żeński - szukam imion
zatarcia o kobietach pamięci, że przecież
dawno młodość przebrały na akcent starości.
Mój Boże, moje dziewczyny dwadzieścia lat
miały, teraz zgarniają zmarszczki z twarzy.
Soczystość uszła i chęć, a ja ciągle mam
na nie chęć, tylko zajrzeć do środka,
jak do biblioteki wyjąc z półki tomik wierszy
zapisany cały o miłości w dwudziestym
wieku.

Maciej Michalski, Słupsk

JASNOWIDZENIE

W Niebie znów okien nie zamknęli,
Więc błękit się wylał na dachy.
Jasnowidzący przystanęli.
Wraz z mrokiem umknęły strachy.

I przez godzinę ludzie wrażliwi
Wtopieni w niebiańską ciszę,
Zda się nieziemsko byli szczęśliwi
I ja wtedy rzekłem... słyszę!

Odtąd mi z życia coś umyka
I tracę raz to a raz owo.
Miast bronić stanu portfeli
Wciąż chodzę z zadartą głową.

Cezary Wosinek, Lubuczewo

MÓJ MAŁY PARYŻ

Miasto nad rzeką,
w dolinie i na wzgórzach,
tam zostawiłem serce
po wieloletnich życia burzach.

Ratusz skapany w słońcu,
fara, co się pochyła
i piękne parki nad Słupią,
gdzie wiosną loty motyla.

Tłok na głównej alei,
z kamienia, ze spiżu pomniki,
tam to chodziłem za młodu –
-kochane pamięci grafiki.

Dziś, gdy o Tobie rozmyślam,
nie szczędzę Tobie pochwały,
boś Ty jest źródłem szczęścia
mój wielki Paryżu i mały.

Genowefa Gańska, Bytów

BOŻA MEKA

Na skrzyżowaniu wiejskich dróg
Gdzie boża męka stała
Staruszek idąc padał z nog
I głowa zmęczona mu się chwiała

Zapomniał jak ma iść do domu
Gdy tyle dróg zobaczył
I nie powiedział już nikomu
Że Boga prosił aby mu wyznaczył

Którą ma teraz wybrać drogę
By idąc nią nie zbłądzić
Bóg odrzekł starcze ci pomogę
Byś na czas mógł do domu zdążyć

Nad starca dołą się zlitował
I wysłał mu swego anioła
Sam w niebie miejsce mu zgotował
I go do siebie już zawołał

Anioł miał drogę mu oświecać
By mógł nią kroczyć śmiało
Nadzieję w sercu jego wzniecać
Mówiąc że szczęście go spotkało

Starzec szedł wolno za aniołem
Aż doszedł do bram nieba
Tam Bóg posadził go za stołem
I już mu teraz nic nie trzeba

W numerze 4 (24)
„Wsi Tworzącej” w
„Wierszach najnowszych”
błędnie podaliśmy imię i
nazwisko autora wiersza
pt. „Jesień”. Jest nim
Maciej Michalski ze
Słupska. Czytelników
i zainteresowanych
przepraszamy. (z)

radość jest smutna

SZTUKĄ PIĘKNĄ ZAJMOWAŁEM SIĘ OD ZAWSZE

Urodziłem się w 1948 roku na wsi koło Białogardu. Matka pochodzi z Kujaw, a ojciec z Małopolski. Jestem więc autentycznym Polakiem – i chociaż mój poród odbierała niemiecka akuszerka – nigdy nie starałem się o wyjazd „na pochodzenie”.

Atmosfera domu rodzinnego, w którym „polszczyzna – ojczyzna” była noszona na rękach, wyniosła mnie – pomimo ograniczonej inteligencji – na kontynuatora i spadkobiercę wartości najwyższych. Kiedy umrę w 2048 roku (moja wolna wola!), to do ostatniego tchnienia zostanę zaczarowany tym skarbem.

Kultura nasza, to jakaś wypadkowa pomiędzy Sztuką, a Polityką. W tym właśnie duchu pragnę się przedstawić, jednak wyłącznie w aspekcie moralnym, etycznym i estetycznym.



W moim postrzeganiu „ja – świat”, nie jestem piewcą piękna opadającego liścia; nie uważam też, że czasem kupuję „ładną kurę”; i że życzenie „miłego dnia” świadczy o kulturze godnej naśladowania.

Już od dzieciństwa biegałem z fujarką, choć koledzy nazywali mnie „Trąba”. Wiedza była dla mnie „ostatnim ratunkiem deski”. Musiałem, ale i chciałem się uczyć. Nuty poznałem osobiście. Zdobyłem też niezbędną wiedzę z dziedziny lutnictwa i technologii drewna (np., że altówka pali się dłużej niż skrzypce; albo, że na wiolonczeli można uratować się w czasie powodzi). Z mądrości ludowych, pamiętam najważniejsze: „Kto jest mądrzejszy, kukułka, czy jajka?” Opowiadam się zdecydowanie za opcją pierwszą, a nawet drugą.

Tzw. „sztuką piękną” zajmowałem się od zawsze. Zawsze też (szczególnie w czasie nauki) – przegrywałem. Lubiłem przegrywać: na skrzypcach, pianinie i akordeonie. (Czas płynął kiedyś tak wolno, że jeden kalendarz wystarczał mi na dwa lata. Po latach nauki i przegrywania – nastąpił zwrot! Zacząłem – wygrywać! Na początku wygrałem Poloneza – Ogińskiego, potem oberka „Miałaś chamie złoty róg”, kujawiaka „Oj markotno mi, markotno”. Na zakończenie dodam, że na Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku zajmowałem najlepsze miejsca – w II, V i XI rzędzie. Kiedyś wzburzyła mnie krytyczna uwaga, że dobry muzyk to i po trzeźwemu zagra. Długo nie mogłem się zdecydować. Po latach prób, udało się! Tak, jestem dobrym muzykiem. Na dzisiaj wystarczy żartów.

W swoich aforyzmach ironizuję słabostki ludzkie, potęgę infantylności, „uczoności analfabetycznej” oraz iluzoryczne przekonanie o bezpiecznej anonimowości.

W moim postrzeganiu „ja – świat”, nie jestem piewcą piękna opadającego liścia; nie uważam też, że czasem kupuję „ładną kurę”; i że życzenie „miłego dnia” świadczy o kulturze godnej naśladowania. Ale ów „opadający liść” inspirowało mnie do szukania prawdy: fizycznej, geograficznej, chemicznej, psychologicznej czy filozoficznej. (Nie twierdzę też, że wiedza ta jest mi znana, ale mam świadomość swojej niewiedzy). Dopiero suma tych prawd – wywołuje potrzebę artystycznej interpretacji.

Myśli moje zawarte w „Dedykacjach” stanowią przeciwstronę „ja – realnego”. To moje – choć nieosiągalne – zabawy słowem z konkluzją dydaktyczną. Te oszczędne strzały w dziesiątkę są odwrotnie proporcjonalne do treści. To esencja i pointa jednocześnie. Lubię esencję wszystkiego. Wody – doleją mi anonimowi „przestrzegacze (także anonimowych) norm”, uprawiający sztukę, kulturę i politykę w gombrowiczowskich maskach. Ich nadmiar – w jednym tylko pokoleniu – odbieram jako maskaradę. Czuję się jak błazen z obrazu Matejki, którego radość jest smutna.

Człowiek toczy się ku barbarzyńskim źródłom, ale – być może – jeszcze nie Ty.

Dedykacje dla oczu rozumnych

Szczęście to świadomość zysku i ... nieświadomość strat.

Strojność kapusty zależy od wielkości jej głąba.

Był moralnie czysty: nie zrobił nic złego, ani dobrego.

Wszystko już było. Oprócz naszej uczciwości.

Klemens Rudowski, Lubuczewo

nasz papież

Trzynasty i do tego jeszcze piątek, to dopiero mieszanka pechowych wybuchów, ale w moim przypadku, wyjątkowo tak nie było. W tym dniu wybrałam się do kina na drugą część filmu o Karolu Wojtyłe pt. „Karol - Papież, który pozostał człowiekiem”.

Z ciekawością, niecierpliwością, czekałam na ten film, gdyż pierwszy „Karol, Człowiek; który został Papieżem” wbił mi się w serce na długo wspomnieniem, grą aktorów (przede wszystkim Piotra Adamczyka), słowami i pewnym niedosytem jak podczas czytanej książki, którą trzeba w połowie przerwać. Gdy rozpoczęła się emisja filmu serce biło mi głośniejsz od dźwięku wydobywającego się z ekranu...

Wzruszenie, wspomnienia, powtórnie przeżywane chwile strachu, bólu, oczekiwania na cud... i cisza na sali, delikatne ocieranie łez, a nawet szloch niektórych kobiet to komentarz, gorący i szczery po zakończeniu filmu. Piotr Adamczyk zagrał na miarę Oscara! I to nie ze względu na super charakteryzację, dzięki której bardzo przypominał naszego Papieża, lecz dzięki świetnej mowie, gestom i oczom, takim samym, uśmiechniętym, błyszczącym bezgraniczną ufnością i miłością do ludzi, całego (nawet okrutnego) świata.



Film ten pokazał jak nieubłagany czas wygrał nierówną walkę z tak silną osobowością, charakterem, zdrową, wysportowaną sylwetką, pełną witalności godnej pozazdroszczenia. Złamał tak silne drzewo w pół chorobą, która z dnia na dzień podstawiła kłody pod nogi Papieża

Film ten pokazał jak nieubłagany czas wygrał nierówną walkę z tak silną osobowością, charakterem, zdrową, wysportowaną sylwetką, pełną witalności godnej pozazdroszczenia. Złamał tak silne drzewo w pół chorobą, która z dnia na dzień podstawiła kłody pod nogi Papieża. A Jego walka, siła woli w tak trudnych momentach to przykład godny naśladowania.

Obraz pokazuje historyczne, tragiczne wydarzenia z całego świata. Wiem, że to już było, że takie sceny widzieliśmy niejednokrotnie w wiadomościach i innych programach informacyjnych, ale w tym filmie owe wydarzenia odgrywają rolę przesłania, potwierdzenia słów, które płynęły z ust naszego Papieża, aby zrobić wszystko, co w naszej mocy, by uniknąć powtórek tych wydarzeń. Słowa Papieża i sceny bólu, łez i niemocy na okrucieństwo ludzi opętanych nienawiścią i chęcią mordowania na długo w pamięci widza. Skłaniają do przemyśleń, zastanowienia nad swoim postępowaniem względem rodziny, przyjaciół i innych. Słowa powtarzane tak donośnie, tak umiejętnie przez aktora, to słowa Jana Pawła II, który w ten sposób, za pomocą ludzi kultury nadal do nas przemawia i przypomina o swoich naukach.

Zachęcam wszystkich do obejrzenia tego filmu. Na pewno każdy odnajdzie w nim dla siebie wskazówkę na przyszłe chwile spędzone na tym naszym, ziemskim padole...

A potok szczerych uczuć pobudzonych wzruszeniem wspomnień pomoże wybaczyć, zrozumieć drugiego człowieka, bo przecież o to też walczył nasz ukochany Papież.

Aldona Magdalena Peplińska
Motarzyna

RECENZJA

Wie chcę być Ukraińcem

Było piękne majowe popołudnie. Słońce przygrzewało dość mocno. Skrajem szosy wędrowało leniwym krokiem dwoje młodych ludzi z tornistrami na plecach. Dziewczyna w wieku czternastu - piętnastu lat, dość tęga w rozpiętym satynowym fartuszku, z tarczą szkolną na lewym ramieniu. Sztywny biały kołnierzyk buńczucznie odchylił się ku tyłowi, najwyraźniej przyciągany przez wypełnioną podręcznikami podnieszczony, skąjowy tornister. Cieniutkie włosy, związane w koński ogon, ozdabiała czarna aksamitka. Idący obok chłopak o jasnych jak len włosach i twarzy zabrudzonej kurzem i potem, z trudem powstrzymywał łzy. Jasnoniebieskie oczy raz po raz ciemniały pod wpływem przelatujących myśli. Stan jego granatowego fartuszka był opłakany jak twarz. Biały kołnierzyk tylko z nazwy był biały: w połowie oderwany, ze smętnie zwisającą białą fastrygą, przypominał raczej kawałek szmaty. Przy bluzie brakowało trzech guzików, oderwana kieszeń i swobodnie fruwający mankiet, nie przypominał schludnego wdzianka. Widać było, że chłopak stoczył ciężką walkę na boisku szkolnym.

Już od dłuższego czasu szli w milczeniu, gdy tę dziwną ciszę przerwał młodzienc: - Najgorsze będzie dopiero

Nie jestem Ukraińcem! Nie chcę nim być! Chcę być Polakiem. W Polsce mieszkam i mówię po polsku. Czego się mnie wszyscy czepiają? Nikogo nie mordowałem.



w domu, gdy stary się dowie. Znowu pasem przyłoży. Ale co ja mam robić? - z westchnieniem szeptał jakby tylko do siebie. - Nie jestem Ukraińcem! Nie chcę nim być! Chcę być Polakiem. W Polsce mieszkam i mówię po polsku. Czego się mnie wszyscy czepiają? Nikogo nie mordowałem. - Barczyście ramiona drgnęły, ale w końcu się opanował.

- Michał, ty się tak nie przejmuj tym, co inni gadają. Zbliży się koniec roku szkolnego i potrzebna ci dobra ocena ze sprawowania. Jesteś dobrym uczniem, ale jeśli wystawią ci słabą opinię to nie dostaniesz się do technikum - perswadowała niezbyt przekonująco dziewczyna. - I po co ci była

OPOWIADANIE

ta bójka na boisku? Dyro wypadł ze szkoły z kijem, nauczyciele z pokoju wylecieli z krzykiem: „Smolak, znowu zaczynasz? Ale z ciebie gagatek!” - nieudolnie przedrzeźniała głos pani Czarnej.

Dziewczynie też nie było lekko. Znała zgryzotę Michała. W domu często miewał pasowanie od ojca za to, że nie przyznawał się do ukraińskich korzeni, a w szkole ciągle musiał udowodniać swoją polskość. I to nie tylko na przerwach wobec rówieśników, ale i na lekcjach wobec nauczycieli. Osobiście również nie pałała miłością do Ukraińców, a szczególnie po lekturze powieści „Ślady rysich pazurów”. Ale przecież Michał nie był taki, jak ci opisani w powieści. Był swój. Dobry kolega, utalentowany sportowiec i doskonały organizator. Ostatnio często się zastanawiała, co też się stanie z ich zastępem harcerskim, gdy on już ukończy klasę ósmą? Ich zastęp w klasyfikacji szkolnej zdecydowanie prowadził i to zarówno w ilości zdobytych sprawności, jak i pod względem przeprowadzonych alertów. I to wszystko dzięki temu niewysokiemu i krępemu chłopakowi. Miał niespożyta energię i pomysłowością bił na głowę wszystkich. Większość zadań realizowali w czasie pasania krów. No tak, przypomniała sobie, że zaraz po obiedzie będzie musiała iść z krowami - Łajką i Muńką na pastwisko. Już wczoraj umówili się, że wszyscy popędzą na gromadzkę i zrealizują jeszcze jedno zadanie harcerskie. Opis musi być wysłany do końca maja. Jej zadaniem będzie opracować wszystkie akcje pod względem stylistycznym. Zapytała, trochę by oderwać myśli kolegi od zgryzot, a trochę i dlatego, że ją również goniły terminy i zdecydowana była przyśpieszyć akcję: - Michał, pamiętasz, że dzisiaj musimy zaliczyć część historyczną alertu? Idziesz z krowami?

- Nie wiem. Ale chyba mam dość. Muszę podciągnąć z polaka - usprawiedliwił się stosunkowo niezręcznie Michał, bo działalność w zastępie była jego pasją i sposobem na zapomnienie domowych kłopotów.

- Nie wygłupiaj się. Napiszę ci to wypracowanie piorunem. Wiesz przecież, że to dla mnie pryszcz.

Po chwili z westchnieniem ciszej dodała: - W przeciwieństwie do matematyki. Te zadania z treścią są koszmarnie. Skąd mam wiedzieć, jak szybko samochód dojedzie z punktu A do punktu B, skoro tu żadnych samochodów i przez dwie godziny nie zobaczysz?

Michał nie odpowiedział. Zastanawiał się nad czymś, bo oczy mu pojaśniały i nawet zaczął się uśmiechać pod nosem. Spoważniał wreszcie i powiedział:

- Matkę ci wyjaśnię. Tylko weź zeszyt. No to jesteście umówieni. A inni?

- Przecież wiesz. Od wczoraj mówiliśmy, że dzisiaj paśmy wszyscy na gromadzkim.

Sygnalem wypędzania krów z obór był gwizd Jasia Zielone Ucho, wiejskiego głupka, pastucha, którego jedynym zajęciem było pasienie. A gwizdał on wyjątkowo głośno, przeciągle i bardzo melodyjnie. Na ten dźwięk wszystkie krowy zaczynały porykiwać z niecierpliwością, a może z tęsknoty za nim? Bo trzeba wam wiedzieć, że Jaś Zielone Ucho znał język krowi i doskonale się z nimi porozumiewał. W jego obecności żadna nie śmiała się znarowić, zadrzeć ogon i lecieć przed siebie.

Zabieraliśmy go ze sobą, a może to raczej on nas towarzyszył lub szukał naszego towarzystwa, by nam pilnował naszych żywicieli i karmicieli, a w tym czasie mogliśmy odrabiać lekcje, pisać, czytać, czy też bawić się w podchody. Dobry to był człowiek o bliżej nieokreślonym wieku i niezbyt sprecyzowanej inteligencji. Zgadzał się za lizaka, cukierka, za chociażby kromkę chleba z cukrem pilnować za nas bydłat.

Jasiek pędził krowy przez całą wieś i do niego kolejno dołączały inne z radosnym porykiwaniem, parskaniem. Krowy się doskonale znały. Witwały ze sobą poważnymi kiwnięciami głowy i wolno włączały się w ten strumień, nie przepychając się i nie poszturchując. Było ich chyba ze trzydzieści, a jednak doskonale się dogadywały opowiadając o swoich cielętach, które przemykały niecierpliwie między nimi. Żadna z krów nigdy nie straciła cierpliwości w stosunku do swoich małych, niesfornych potomków. Czasami tylko szturchnęła rogiem, by cokolwiek rozbrykanego cielaka uspokoić. I o dziwo, takie szturchanie było wyjątkowo skuteczne: cielę się uspakajało i jego dalsze hasanie nie wybiegało poza utarte normy.

Patrząc na stado i czekając na ogon, który tworzyli młodzi pastuszkowie, dziewczyna z gniewem myślała o swoim codziennym obowiązku i milcząco odgrażała się Panu Bogu za swój niewdzięczny, pastuszy los, za brak kolonii, wakacji i innych znanych jej tylko z książek rozrywek dostępnych miejskim dzieciom.

Kawalkada zbliżała się do obejścia Michała. Była niezmiernie ciekawa, czy też będzie pędził. To, co zobaczyła, przeszło najśmielsze oczekiwania. Na podwórku biegał Michał, a za nim z pasem jego ojciec. Michał krzyczał zapamiętałe: „Nie jestem Ukraińcem! Jestem Polakiem!” Jego ojciec z kolei gonił za nim na zbyt krótkich nogach i z pasją w głosie, sapiąc wrzeszczał „Jesteś Ukraińcem! Budiesz Lachów riezat, jak ja ci budę kazał!”

Zatrzymali się wszyscy. Ba! Nawet krowy jak gdyby na chwilę zamarły w bezruchu, ale wkrótce podjęły swoją wędrówkę ku ziemi obiecanej. Zdrętwieli. W końcu Michał miał prawie piętnaście lat i lanie pasem było raczej nawet na wsi niestosowne. Zaskoczyła wszystkich pasja ojca, i nienawiść sącząca się z jego krzyku, gdy nieświadom sytuacji, świadków, przechodził z języka polskiego na ukraiński, wygrażając Bóg wie komu. Bo nikt nie wierzył, by mógł mordować sąsiadów.

Michał, oczywiście, nie pał w tym dniu krów. Nie poszedł też następnego dnia do szkoły. W końcu jednak zjawił się w szkole, cichszy i jakoś taki małomówny. Nie chciał z nikim rozmawiać na ten temat.

Rzeczywiście, Michał do technikum się nie dostał. Czy tylko z powodu oceny z zachowania? Poszedł do zawodówki, a wkrótce po ukończeniu szkoły, zaciągnął się do marynarki wojennej. Mijały lata. Michał nie przyjeżdżał do rodzinnej wsi. Ponoć ukończył wieczorowe technikum i studia marynarki handlowej. Pływał po wszystkich morzach i oceanach, a na emeryturze osiadł w rodzinnych stronach swojej babki, gdzieś w okolicach Sanoka.

Upłynęło wiele lat, nim był zastęp ZHP dowodził się przyczyn kłopotów Michała i poznał dzieje akcji „Wisła”...

**Teresa Nowak
Łupawa**



powróciło moje dzieciństwo



Trzynasty listopada. Jadę do Gdańska z duszą na ramieniu do kliniki okulistycznej na zabieg laserowy. Nieproszony lokator – jaskra – wybrała moje lewe oko. Coś ostatnio bardzo polubiły mnie takie lub inne przypadłości.

W drodze powrotnej zatrzymałam się przed zajazdem góralskim „Krywań” w miejscowości Ługi. Musiałam. To urok mojego dzieciństwa. Budynek z drewna stoi pod lasem i zaprasza. Dach okrywa słomiana czapa – strzecha. Jeszcze nie ma parkingu i utwardzonej drogi, ale prace trwają.

Wejście. Mały drewniany mostek, pod nim cichutko szmerze strumyk. Góralka z wiadrami zmierza do strumyka

pod wodę. Do środka zaprasza Janosik z ciupagą w dłoni i gospodyni zajazdu z bochnem chleba. Proszę państwa to naturalnej wielkości człowieka postacie wyciosane z drewna. A w środku? – W środku fantastycznie.

W sali na dole stoły i ławy, huśtawka dla maluchów z pieskiem służącym za podnózek i inne cudneńka drewniane. Warto zobaczyć twórczość rzemieślników a jednocześnie artystów ludowych. Miniatura góralskiej Watry w kominku, góralska nastrojowa muzyka i obsługa w regionalnych strojach. Schody na piętro złożone z drewnianych bali przeciętych na pół a tam sala przystosowana do urządzania przyjęć.

Piłam kawę podaną w kamionkowych filiżankach, delektowałam się pysznym jabłecznikiem podanym na ciepło ze śmietaną. Świeca zapalona na stoliku chybotliwym płomykiem nieśmiało pomykała po ścianach. Z nowoczesnych elementów to brama metalowa i kasownik należności.

Powróciło moje dzieciństwo i jakby na chwilę cofnął się czas. To tylko złudzenie. Warto było. Polecam ten urokliwy zajazd.

Eugenia Ananiewicz, Słupsk

POLECAM TEN ZAJAZD

jak chodziłem z kołędnikami

Już od rana wycinano kapustę i zwożono z pola wrzucając ją przez okna do izby, przeważnie był to jeden pokój, kuchnia, sień i komora w zamojskich domach. Kapusta sięgała niekiedy pod sufit zajmując większość izby. W komorze lub sieni stała beczka o średnicy 180-200 cm, wysoka na jeden metr. Wieczorem lub późnym popołudniem przychodziły panny, mężatki oraz panowie różnego stanu i każdy dostał swoje zadanie. Gospodarz zaopatrywał się w wyskokowy napitek, a gospodyni piekła ciasto; sernik, makowiec, a czasami przygotowywała też okraszoną sówicie słoniną kaszę. Każda niewiasta siadała na stołeczku, brała do ręki nóż i obierała kapustę z brudnych i nieprzydatnych liści, wycinała głąb, ładując to wszystko do dużych podstawionych koszy. Liście wynoszono do ogrodu lub na podwórze i spasano później bydłem. Obraną kapustę wnoszono koszami do przygotowanej wcześniej beczki. Tam

Z uwagi na to, że mam 90-procentową zaćmę i mało piszę teraz wierszy, postanowiłem podzielić się z Wami moimi wspomnieniami z tradycji. Są to wspomnienia z dawnego wspólnego obierania i kiszenia kapusty, jakie miało miejsce w niejednej zamojskiej wsi, i o tym jak chodziłem z kołędnikami.



młodzieńcy cięli ją kosami obsadzonymi na rękojeściach chodząc jeden za drugim dookoła beczki. Co pewien czas jeden z uczestników dodawał pokrojoną marchew i sól. Następnie dwóch mężczyzn, mając przygotowaną czystą bieliznę, wymoczone i wymyte nogi deptało ją i ubijało przygotowanymi tłuczkami. Kiedy już ostatnie główki kapusty znikły pokrojone w tej dużej beczce, zmiatano i sprzątano izbę. Gospodyni stawiała teraz jedzenie i zbożową kawę z mlekiem. Gospodarz częstował napitkiem, a obieracze, jeżeli wśród nich nie było muzykanta, zapraszali innych: skrzypka, harmonistę, bębniście i wszyscy bawili się do rana. Tak kończyły się „obieraczki” na zamojskiej wsi. Następnego dnia były u innego gospodarza.

W dawnych moich rodzinnych stronach utarł się też zwyczaj kołędowania. Tak przed II wojną światową, jak i zaraz po niej na wsiach zamojskich była bieda i w niejednej wiosce w drugi dzień świąt, na Szczepana od rana kilkuletnie dzieci chodziły po domach i zbierały „podłazniki”. Były to drobne pieniądze, słodycze i inne świąteczne dary. Wieczorem natomiast chodzili chłopcy i pod oknami śpiewali wyuczone kołеды. Ktoś wychodził i dawał kilka złotych. Wtedy nie było modne „dzień dobry”, ale „niech będzie pochwalony...”.

POCZTA REDAKCJI

Odpowiadano: „na wiek wieków amen”. W okresie świąt dodawano „niech będzie... i z wigilią, z Bożym Narodzeniem, z kolędą, ze świętami i z Nowym Rokiem”.

Pod koniec lat czterdziestych chodziłem i ja z kolędą, najpierw z kolegą a potem młodszym bratem. Po zakończonym śpiewie, jeżeli nikt nie wychodził, co uważaliśmy, że nie ma zamiaru nam coś dać, mówiło się: „Wynoście nam pilno, bo nam w nogi zimno, będziemy strzeżę rwali i pod nogi stali”. Kiedy nadal nikt nie wychodził, odchodziliśmy z kwitkiem, a w przyszłym roku taki dom omijaliśmy. Zebrane pieniądze oddawaliśmy rodzicom, a oni pozostawiali nam niewielkie sumy. Przed wymianą pieniędzy w 1950 roku zbieraliśmy 300 – 600 zł (80 zł kosztował bochenek chleba). Kolędowanie kończyliśmy o godzinie 20 – 21-ej, a najpóźniej o 22-ej.

Pamiętam ostatnią moją kolędę z bratem. Uszliśmy ok. jednego kilometra od domu śpiewając kolędy i zbierając pieniądze, było po 21-ej i zamierzaliśmy już iść do domu, ale był jeszcze dom, gdzie mieszkał samotnie starszy kawaler.

Chował świnie, kury i wiedzieliśmy, że ma pieniądze, bo we wsi wszyscy o wszystkich wiedzieli wszystko. Odśpiewaliśmy naszą kolędę, wymówiliśmy naszą formułkę i czekamy, a tu nikt nie wychodzi. Podsadziłem brata, by ponad dolną zastonką zobaczył, co się dzieje, czy może szuka pieniędzy. Potem sam poszukałem jakiegoś klocka i patrzę, a on siedzi bez koszuli i zbiera z niej wszy, czyli ska swoją koszulę. Poszliśmy więc do domu. Niewiele wtedy uzbieraliśmy, bo był to rok 1950, w którym była wymiana pieniędzy. W 1951 skończyłem szkołę i więcej po kolędzie nie chodziliśmy. W 1953 roku wyjechaliśmy na ziemię strzelecko-krajeńską, a ja poszedłem do pracy...

Po co o tym piszę, przypominam? Chcę przypomnieć dawne tradycje, ten wiejski folklor, by przyszłe pokolenia wiedziały, jak żyli ich dziadowie, pradiadowie. Dzisiaj pokazuje się w Dobrzyniu walki rycerskie dawnych wojów, a przecież to, co opisałem, to też jest czerpanie z dawnych zapisków zwykłych ludzi. Warto o tym pamiętać.

Jan Kulasza, Strzelec Krajeński



anna idźkowska

Jest młodą mieszkanką Słupska. Ukończyła Katolickie Liceum Ogólnokształcące i studia pedagogiczne w Pomorskiej Akademii Pedagogicznej w Słupsku. Jest magistrem pedagogiki opiekuńczo-wychowawczej, poszukującym pracy. – Natchnienie do wierszy czerpię głównie z doświadczenia życiowego

swojego i znajomych, z wyobraźni, z wycieczek krajoznawczych i wspomnień – napisała o sobie. – Moje wiersze dotyczą zarówno ogólnoswiatowych problemów, jak i bliskich mi osób oraz otaczającej mnie rzeczywistości. (z)

CAPRIZAM

Jest takie miejsce
gdzie szafirowa toń morza,
przywodzi na myśl
twoje oczy;
gdzie czerwony odcień koralowca
przypomina twój uśmiech;
gdzie biel chmur na błękitnym niebie
jest jak ciepło twoich ramion;
gdzie nawet słońce grzejąc,

patrzy na mnie twoimi oczyma;
gdzie maski weneckie śmieszą
jak twoje najlepsze dowcipy.
Aż żal, że nie możesz
ze mną ich oglądać.

DEFINICJA MIŁOŚCI

Dla mnie miłość
ma oczy niebieskie
jak bezkresny błękit nieba.

Dla mnie miłość
ma włosy blond
jak falujące na wietrze zboże.

Dla mnie miłość
ma ciepły uśmiech,
który wprowadza pokój.

Dla mnie miłość
ma jedno imię
i wszystkie inne poza nim są nieważne.

Jan Wanago, Wrześnica

SMUTNO MI BOŻE

Wyznaję Ci Ojczy prawdziwie i szczerze,
Tutaj spoza kraty, gdzie więzienne mury,
Skąd boleść i cierpienie swój początek bierze.
I łzy padają jak deszcze co z chmury
I oto teraz o wieczornej porze
Usiadłem dumać - bo smutno mi Boże.

Jestem samotny wśród tylu ludzi,
Którzy dla mnie są zimni, jak gdyby nie żyli

W nich zło i bluźnierstwo na ustach się budzi
Ach! Jak żyć z nimi, kto mi czas umili
I kryję się samotny, jak dziki co w norze
Unikam ludzi - bo ciężko mi Boże.

Oderwany od dzieci i kochanej żony
Od swojej rodziny i własnego domu,
A tutaj w te mury więzienne wrzucony
Gdzie i poskarżyć się dziś nie ma komu.
I dlatego łzy płyną jako wielkie morze
Płaczę jak dziecko - bo trudno mi Boże.

Ani tu kwiatów, ani drzew w zieleni

Co na nich ptaszki śpiewają tak mile,
Ani nie są tu tak złote promienie
A są jak gdyby promyk na mogile,
A przecież tyle kwiatów na naszym ugorze
Dla wszystkich rosną - przykro mi Boże.

Ale gdy wspomnę sobie na Twe święte słowo
Którym karmisz głodnych co pragną żywota
I wiem o tym, że żywot swój wiodę na nowo
Kierując swe kroki gdzie są życia wrota.
Oraz gdy spoglądam na zbawienną zorzę
I wierzę w to mocno - raduję się Boże.

Czarne, 24.VI.1959 r.